

Wyznania szczerego
entuzjasty teatru
PAWEŁ GŁOWACKI

Odwieczna bajka, znamy ją od urodzenia, wszyscy. Arche-bajka. Oto pierwsza Zła Siostra – oczywiście kinol jak szpon, oczywiście cera świeżo oskubanej kury, oczywiście tępota gęsta. Druga Zła Siostra – oczywiście oddycha czerwonym kartoflem, oczywiście łyda ma godne ud Ireny Szewińskiej w szczytowej formie, oczywiście karlicza zapiekła. A obok, oczywiście w kącie – Kopciuszek. Umo-rusany i w łachmanach, ale za to pełen wdzięku, oczywiście.

W programie do „Baśni o dobrym Kopciuszkuku i Złych Siostrach”, którą napisał i wyreżyserował Grzegorz Kwieciński, właśnie słowo Wdzięk definiuje bidę w kącie. Czytam dalej: wersji arche-bajki o bidzie z Wdziękiem, której smętny los odmieniła dobra wróżka, zgubiony pantofelek i gust księcia gardzącego kurzymi cerami i łydami jak olimpijskie uda – jest na świecie blisko 700! 700 odmian tego samego? Czy w ogóle da się coś nowego dorzucić jeszcze, dodać od siebie coś odkrywczego, świeżego, zaskakującego?

Pewnie wszystkie języki, wszystkie krainy, pory roku, kolory skór i obrządki mają już swój udział w opowieści o bidzie sponiewieranej. Nikogo nie olśnisz fundamentalną odkrywczością. Tu, w „Kopciuszkuku”, tkwi już pewnie cały glob, tu już cała planeta sama sobie od stuleci opowiada siebie. Co było do odkrycia – odkryto grubo przed nami. Powiadają, że wszystkie książki zostały już napisane. Jeśli idzie o historię naprawdę istotną – owszem, nie zostało przeoczone. Co więc jeszcze można?

Szczur Alfred

Wszystko, co można, co ma sens, to zegarmistrzowskie ingerencje w cienie na powieściach odwiecznych opowieści. Trzeba zdobyć się na delikatność, na milimetry, na aptekarskie korekty intonacji, puchowe zmiany intensywności barw, filigranowe modulacje rytmu. To wszystko. Tyle można uczynić z odwiecznymi opowieściami. Na tyle można sobie z odwiecznymi opowieściami pozwolić – odpowiedzialnie.

Zegarmistrzowsko-aptekarski umiar to cecha nie tylko „Kopciuszka...”, lecz prawie każdego przedstawienia Groteski. Rzecz w tym, że Groteska widzów swych traktuje poważnie. Jak zaprasza na „Kopciuszka...” – dotrzymuje słowa, serwuje „Kopciuszka...”. A gdzie indziej – jak jest? Zapraszają na Fredrę – a dają mialką telenowelę. Zapowiadają Słowackiego – a raczą gierką w Powstanie Warszawskie. Kuszą Arystofanem – a katuszą człowieka pokazem wsiowych kiecek w stołówce szkoły gminnej pod Łomżą. Szkoda gadać. Czy koniecznie musi tak być, że w Grotesce traktują nas poważnie, gdzie indziej zaś, w imię nowoczesnej „módki” teatralnej na neandertalskie rozpi-rzanie starych opowieści i kłeczenie z gruzów głupot – robi się z nas litych krety-nów?

Nie da się sensownie zrobić z zupy mlecznej – bigosu. Nie wiem, jak oni to czynią, ale wstrząsająca ta prawda artystom Groteski jakoś nie czmycha w proso. I nie wiem też, skąd w dzisiejszych czasach neandertalskich rozpierdów scenicznych Kwie-

ciński wziął odwagę, by upie-rać się, że „Kopciuszek...” to „Kopciuszek...”, a nie „Pregi II”. Zło to zło, kinol to kinol, kurza cera to kurza cera, łyda udowa zaś to udowa łyda. Jak baśń naka-zuje – karoca dobrej wróżki płynie po powietrzu. I nie będzie finału innego niż od-wieczny. Wygra Wdzięk bidy sponiewieranej – przegra neandertalska toporność Złych Sióstr, którym się w kurzych

móżdżkach urodziło kretyń-stwo, że oto można na odlew, bez sensu, cepem rozpirzać świat z dawien dawna ustano-wiony i z gruzów kłecić kurio-zalne slumsy – portret nean-dertalskich snów. Nie da się, Siostry. Bo los to los.

W „Kopciuszkuku...” Kwieciń-skiego jest tak, jak od za-wsze w mitycznym „Kop-ciuszkuku”, i jak jest w każdej z blisko 700 jego wersji. Jest, jak ma być, by baśń się do-pełniła. A gdy po przedsta-wieniu rodzice pokażą dziec-ku jakiegoś drukowanego „Kopciuszka” z ilustracjami, albo puszczą dziecku któryś z rysunkowych filmów – dziecko samo zobaczy,

na czym polega wielki Wdzięk seansu Kwiecińskie-go. Poczujcie moce tego, o czym piszę – teatralne mo-ce reżyserowania tylko cieni na powiekach odwiecznych opowieści.

Powtórzę: bo w „Kopciusz-ku...” Kwiecińskiego jest od-wieczne wszystko, poza tym, co w teatrze najistotniejsze – poza modulacją rytmu, into-nacjami barw, aptekarską żonglerką detalami i puchowym żartem gestów, który tak lekko zlepia aktorów z lal-kami.

Tak, tylko przepyszne dro-biazgi sceniczne wyszły spod palców Kwiecińskiego, tylko i aż – i dlatego odwiecz-

na opowieść stała się na po-wrót świeża, jakby ledwie wczoraj snuta była pierwszy raz. Drobiazgi i ten Kwieciń-skiego koncept nadzwyczajny, którym nie mogę się na-sycić. Otóż – w Grotesce to szczur zawiąduje baśnią od-wieczną! Banalny gryzoń szary, nie inaczej. Tomasz Mann wymyślił Ducha Opowieści, Kwieciński dał nam Alfreda – Szczura Opowieści, co wciąż przed katastrofami umyka z kolosalnym kęsem szwajcarskiego sera, facho-wo nabitym na wąsaty, ni-czym żmija długi i kręty pyszczek. Alfred jest tutaj na początku i na końcu losu. Alfred pomaga Wdziękowi bidy. I Alfred zwycięża. Nie wolno przeoczyć Alfreda.

Teatr Groteska. „Baśń o do-brym Kopciuszkuku i Złych Siostrach”. Tekst i reżyseria Grzegorz Kwieciński. Sceno-grafia Przemysław Karwow-ski. Muzyka Bogdan Szcze-pański. Choreografia Marze-na Biesiadecka.